Krzysztof Budziakowski

Choć nasze łodzie przeciekają…
notatki lipnickie

Choć nasze łodzie przeciekają…

notatki lipnickie

Biblioteka „Toposu”, T. 184

Krzysztof Budziakowski

Choć nasze łodzie przeciekają…
notatki lipnickie

Sopot 2020

Nie znamy intencji wszechświata, ale wiemy, że myśleć jasno i działać sprawiedliwie to pomagać tym zamiarom, które nie zostaną nam objawione.

Jorge Luis Borges

SEZON PIERWSZY

PIERWSZA

Wieczór na wsi. Mijają dziesiątki lat,
a skoszona trawa pachnie wciąż tak samo.
Jakby nic się nie stało.
Czy bardziej wysycha, czy gnije?
Namiętny przepływ zapachów ziół i słomy.
Sennych.
Miesza się z nimi dymny półmrok,
czerwień ognia płonących gałęzi derenia,
smaki unoszące się z wędzarni.
Wilgotne, jesienne powietrze wzbogacone
gęstymi zapachami
wdycha się z uspokajającą przyjemnością.
Ciepła cisza otula.
Dębowy płomyk bourbona trzepocze w głowie
i nic więcej nie jest potrzebne.
Nic... a nagle, jak manna, opada koci szmer słów.

DRUGA

W sadzie orzechowym gorzki zapach gnijących liści.
Pocięta sosna paruje żywicznymi olejkami.
Przenikliwie skrzeczą kraski.
Ich szmaragdowe pióra są znakiem śmierci dla sikorek.
Coraz więcej pewnych siebie krasek,
coraz mniej moich sikorek.
Liści już nie ma, ale ich cienie na trawie
przez chwilę zapomniały uciec.
Puste gałęzie odsłaniają puste niebo.
Jesień. Kolory tytoniu. Zimna wilgoć. Rześkość.
Ależ mam ochotę zapalić...
Kiedyś to były znakomite papierosy:
Eve, More, Gitanes... Pachnący dym z posmakiem
wanilii, czekolady albo dębu...
Wspomnienie błogiego, nikotynowego szmeru w mózgu.
Jesień... W końcu będzie tak, że dalej nic nie będzie,
a ja nie jestem w stanie zgodzić się
nawet na bycie starym.
To nie jest poezja.

TRZECIA

Rano mgła jak wyciszająca wata.
Odkryć przypadkiem na wiejskim cmentarzu
grób prapradziadków.
W miejscu, w którym się nigdy nie było.
Lekko dławiące zaskoczenie, a przecież niby wiadomo,
że kiedyś gdzieś żyli.
Pragnęli podziwu, miłości innych,
chcieli być dla kogoś ważni.
Jedli pierogi z borówkami. Starali się. Kochali.
Czasem płakali.
I co teraz?
To było tak dawno i dzisiaj nikogo nie obchodzi. Nikogo.
Aksamitny, ciemnozielony mech na kamiennej płycie.
Dźwięk dzwonu. Czerwone znicze.
Chryzantemy – wrzosowe.
Najmodniejszy w tym roku kolor kwiatów dla zmarłych.
W żółtych liściach cmentarnych drzew
są atomy z ciał pochowanych tu ludzi.
Spadają na nas. Delikatnie grzechoczący szelest.
Pachnie mokra ziemia gotowa każdego przytulić
szczerze i dokładnie.
Ona jedna nikogo nie zawiedzie.
I wiernie czeka, choć i to żadnego sensu nie nadaje.
Lodowate powietrze szczypie mnie w policzki.
Jak na pytanie o sens i cel swojego istnienia
odpowiedziałby Bóg?

CZWARTA

Endorfiny – hormony poprawiające samopoczucie.
Koją ból.
Głaszczą po głowie, przywracają zdrowie.
Jakby przemarznięte nogi zanurzyć w ciepłej wodzie.
Przyjemny, gwałtowny dreszcz, nagle przepływający
po kręgosłupie i zalewający całe ciało.
Można prowokować u siebie ich wydzielanie.
Jeden ze sposobów to uśmiech.
Nawet wywołany na siłę. Bez powodu.
Lepiej jednak, żeby nikt tego nie widział.
Uśmiecham się więc często ukryty w miękkiej ciemności.
Uśmiech wchodzi we mnie.
To przypomina mi maszynę do przytulania,
którą zbudowała dla siebie
autystyczna dziewczynka, Temple Grandin.
Przytulanie podnosi poziom endorfin uspokajających.
Ta maszyna uwalniała ją od lęku.
Och Temple, byłaś naprawdę dzielna.
Wiedziałaś, że nigdy nie staniesz się jedną z nich.
Poradziłaś sobie.
Taki ratunek: maszyna do przytulania
i uśmiech w ciemności.
Czarny, ciepły puch nocy.

PIĄTA

Chleb z wiejskiego pieca pachnie przypalonym zbożem.
Chrupiący.
Moczony w miodowej oliwie smakuje orzechowo.
A oliwa – jak czytam – z ciepłych gajów Heraklionu.
Gładka.
Niedaleko tych właśnie gajów oliwnych
długowłosy starzec Epimenides nauczał,
że świat powstał z Powietrza i Nocy,
a wszystko co widzialne
ma swoją odwrotność.
A tu u nas wkoło mokra, zimna biel
położyła się ciężko na ściemniałych zieleniach.
Przygniata je bezwładnie.
Ptaki milczą.
Cisza.
Chmury – nieruchome. Zatrzymały się.
Co jest ich odwrotnością niewidzialną?

SZÓSTA

Brodziłem w górskich strumieniach.
Dawno temu.
Stopy trzeba stawiać ostrożnie, bez wynurzania.
Opływa je orzeźwiający, radosny chłód.
Słychać tylko szum, szmer, pluskanie, szuranie,
bulgotanie spływającej wody.
Miejscami – piana.
Dłonie też zanurzone. Skupione. Płyną miękko po dnie.
Niewidome – odróżniają po omacku ryby od kamieni.
Szorstkich, omszałych, śliskich lub mydlanych.
Rozpoznają spokojnymi muśnięciami.
Szukają delikatnym głaskaniem.
A ryby ukryte w mroku wykrotów,
pozostając niewidoczne, same nic nie widzą.
Wpływająca powoli pod kamień dłoń nieruchomieje.
Pozwala, aby to woda nadawała jej minimalne falowania.
Wywoływała czułe dotknięcia rozpoznające kształt.
Ryba traktuje dłoń jak inną rybę.
Ocieranie jak rodzaj rybiej pieszczoty.
Czuje się bezpieczna.
Popełnia błąd identyfikacji.
Nam on też się zdarza – ale odwrotny.
Widzimy człowieka, lecz czasem To co widzimy,
nim nie jest.
I często ma pomyloną tożsamość:
niektóre zwierzęta wierzą, że są ludźmi.
A teraz jeden ruch.

Szybki, drapieżny atak.
Pochwycenie za skrzela dłonią jak stalowe kleszcze.
Zaciskającą nieodwołalnie. Pomyłka pozbawia tchu.
Ryba wyjęta na powietrze,
przez ostatnie kilka sekund widzi,
że jej czas zatrzymuje chudy,
czternastoletni chłopiec w okularach.
Bosy wysłannik Przeznaczenia,
sam będący Przeznaczeniem,
którego też spotka Przeznaczenie.
Słońce oślepia ostatecznie.

SIÓDMA

Wszyscy mówią, że Go nikt nie widział.
Nie widział, bo nie ma takiego dużego lustra,
w którym zmieściłoby się odbicie nas wszystkich
i całego kamiennego wszechświata.
Nas – człowiekowatych.
Z których wielu jest – tym brakiem – wezwanych:
„Pokaż, czy masz twarz".
A mimo to, przy kapliczce wśród starych lip,
pojawia się czasem żółte światło.
I wtedy ci przechodzący,
którzy mają skrzydła z czarnych piór,
zaczynają się czuć nieswojo.

ÓSMA

Niedawne lekcje śpiewu:
„Notte e giorno faticar per chi nulla sa gradir…"
Moje próby stawania się instrumentem,
głosem wibrującym harmonią,
falującym matematyczną tajemnicą, drżącym rytmem.
Strojenie uczuć do struktury świata.
„La calunnia è un venticello…"
Próby osłonienia się płaszczem Figara,
kapeluszem Don Basilio,
szpadą Leporella…
Śpiew w ogrodzie rozchodzący się w dół doliny,
na zwichrzone łany zbóż,
które tylko na krótką chwilę
zaczynały płonąć białym, zachłannym ogniem.
A później stałem odarty –
lecz mimo to czułem wdzięczność,
że i tego mogłem spróbować,
bo bogactwo, które otrzymałem nie ma końca.

DZIEWIĄTA

Oczy obrócić… nie odwrócić, obrócić…
Otworzyć je szeroko, bardzo szeroko – do środka,
w przestrzeń umysłu, graniczne zakamarki.
Zobaczyć w piwnicach i salonach miasta czaszki,
wewnętrzne hodowle wewnętrznych zwierząt:
wielbiących siebie pawi pychy,
oślizgłych wszy chciwości,
namiętnych szczurów nieczystości,
mlaszczących wieprzy obżarstwa,
skrytych żmij zazdrości,
wściekłych psów gniewu,
wykastrowanych kotów lenistwa.
One nigdy nie śpią.
Oswajają. Odurzają.
To już było oznajmiane.
Hodowane hodują hodowcę.
Kto jest więc kim?
Tylko cierpliwa, pokorna łagodność
pozwala zobaczyć ich zaskakujące pożywienie.
Gdyby zostały pokonane – czyli zagłodzone lub lepiej:
przebite jak smoki metaforycznymi włóczniami –
czym byłaby pustka po nich?
Niebieską przestrzenią ulepioną z błękitów
czy ostatecznym opuszczeniem i trwogą samotności?
Królestwem czy martwą obojętnością?
Tylko podjęcie takiego ryzyka
jest prawdziwym męstwem.

DZIESIĄTA

Pobyt na tej planecie jest misją ograniczoną w czasie, ale
zanim stanę się wszędzie nieobecny
– może tutaj, w zapachu lipy –
proszę, gdy nadejdzie ten dzień,
aby wszystkie chmury
i to na bławatkowym niebie
były wyłącznie pomarańczowe,
a rzekami zamiast wody płynęła wiosenna,
kłębiąca się trawa.
I żeby wszyscy byli odwróceni,
bo chciałbym się wymknąć niezauważony
– jak opadająca mgła.
I myśleć to, co kornet Krzysztof z Langenau,
że to ogrody,
że to właśnie – waniliowe – ogrody.
A w ustach czuć smak konfitury z róży cukrowej.
Proszę, żeby nie bolało.
„Nie będzie. Zrobimy panu zastrzyk,
proszę się nie denerwować."

SEZON DRUGI

JEDENASTA
Kai i Arturowi Wrońskim

W ustach słodko
jakbym ssał kwiaty w syropie,
a to tylko pachną lipy przy kapliczce.
Zapach, który obiecuje, że jeśli wciągnę go więcej,
jeśli wciągnę go głębiej
to zanurzę się w błogości
i wszystko będzie... ach...
wszystko... będzie... dobrze...
Gdy zapach i smak stają się nieodróżnialne,
płyną w powietrzu miodem i porywają nadmiarem.
Ślina napływa mi do ust.
Podobny smak czułem kilka dni temu,
gdy klęczałem po wypiciu ze złotego kielicha.
Rozum praktyczny przyglądał się
zachłyśnięciu duszy.
Ze zdziwieniem, że aż tak.
Było dobrze (mówię to szeptem).
A chór śpiewał *Omni die dic Mariae*.
Artur twierdzi, że powinienem teraz bardzo uważać,
bo Czarnopióry na pewno się wściekł
tym co zrobiłem
i mną się zajmie.
Czy to może być w jakimś sensie rzeczywiste?
Będzie wyglądał jak Dusiołek
o twarzy z żabia ślimaczej,
czy przyjdzie z moją twarzą?
Można zapuścić ten słodki, niebieski zapach w sobie

a smak śliną pamiętać.
Wciągam więc głębiej, wciągam więc więcej...
rozglądam się w sobie i słucham skupiony.
A moją tarczą lustro z napisem:
„Wszystko mogę, ale nie wszystko jest pożyteczne."
Naprawdę tak jest,
wszystko mogę, wszystko...
Ssące porywy pociągają do ekstatycznych nasyceń,
ale w lustrze próbuję przepowiadać ich przyszłość.

DWUNASTA

Tym się różnią, skąd pochodzą.
Nieliczne z obfitości, nadmiaru i bogactwa.
Te ze światła radości. Miękkie.
Inne z braku, opuszczenia, zniewolenia i straty.
Te są od nicości z ciemności,
gdy wieje wiatr pustki i zaplątuje w żałość.
Opisać je powinien *Traktat o łzach*.
Są takie co się wysypują.
I takie co płyną do środka.
I takie co suną jak żyletki po policzkach do kości
i zatrzymują się tępym ostrzem w gardle.
I takie co pod gorącym słońcem Hiszpanii,
łkają jak smyczek violi da gamba Jordi Savalla
w mroźnej pustce po umarłej Montserrat.
I takie co płyną od zatrutej śliny otrzymanej
w pocałunku z upragnionych ust.
Te zdzierają powieki,
nie zamkniesz już oczu spokojnie.
Inne płyną z pragnienia poderżniętego
rozbitym wyobrażeniem.
Trzeba też pamiętać o samotnych łzach Poety,
który pamięta
o spalonych przez ogień niemych łzach Giordana,
stojącego z kneblem i stalowymi kolcami wbitymi
w język i podniebienie na Campo de' Fiori.
A wszystkie ze zblaszałego serca, tracącego rytm,
potykającego się,

pogiętego od pchnięć, popchnięć i odepchnięć,
wypłukujące smarki.
Czy każda kropla wody w oceanach świata
w swojej historii była już łzą?
Czy jest taka, choć jedna, która nie była?
Gwiazdy patrzą sobie cicho i obojętnie,
a przecież jaśmin nie powinien być aż tak raniony,
żeby krwawić.
Już sam jego zapach jest czułą obietnicą.
To niesprawiedliwe, tak jak obcinanie
zgrzytającymi nożyczkami główek sikorkom.
Lecz od pustki wszystko jest lepsze,
nawet łzy,
a Bóg może jej przeciwstawić tylko nas,
właśnie z naszymi łzami
i płynąć w nich, w każdej kropli,
płynąć do oceanu którym jest.

TRZYNASTA

A Ty żółta lipo, czy możesz mi powiedzieć
– cichym szeptem –
gdy siądę pod Twym liściem,
jedząc smażoną, dojrzewającą szynkę z jelenia
na grzance z czosnkiem,

zanim światło zacznie skrzypieć,
zanim słowiki przestaną narzekać,
zanim pocałuję zimne ostrze biegnącego sztyletu,
zanim oblepi mnie ciemna zieleń o smaku szpinaku,

czy coś, cokolwiek – da się ocalić?

Przytul mnie… proszę…

CZTERNASTA

To jest wtedy, gdy podajesz,
jak własnoręcznie upieczone ciastko
z jabłkowym lukrem
– cóż z tego, że trochę nieśmiało –
podajesz swoje pragnienie przyjaźni,
a oni, ona lub on odwracają się od Ciebie.
I nagle znowu jesteś dzieckiem,
które boi się być samo.
Nie przestawaj oddychać ani na chwilę,
bo wtedy właśnie możesz zobaczyć
– tylko Ty –
oczy swojego wewnętrznego cienia
i zajrzeć w nie,
a on – być może – dotknie Cię bezszelestnie
i pokaże swoje ostre zęby.

PIĘTNASTA

Myślę o Ineb-hedż, mieście nad brzegiem Nilu,
w którym też rosły lipy
i które tyle razy zmieniało swoją nazwę.
I o ludziach, którzy mieli tam odwagę
przeciwstawić się pustyni
a Boga nazywali:
„Stary, który był na początku".
Ci pierwsi twierdzili, że świat powstał,
bo On o nim pomyślał
i ciągle myśli taką myślą,
która staje się natychmiast:
szakalem pręgowanym,
splamionym kamieniem,
gęganiem flaminga,
Sfinksem,
zapachem tamaryszku,
czerwienią wielu wcieleń,
sosną żywiczną,
nieznośnym dymem palonych ciał.
On, który wymyśla sobie w umysłach ludzi
różne imiona.
W mieście królowej Hatszepsut imię:
Ptah
a w innych miastach inne.
Wymyśla też te umysły, choć jednak
nie wymyślił jeszcze takiego,
który znałby odpowiedź

na pytanie o sens zapominania.
Zapominania nie tylko o tych, którzy byli pierwsi,
ale i o wszystkich innych.
Bo wszyscy zostaną zapomniani.

SZESNASTA

Gdybym przeprosił tych wszystkich,
którzy powinni mnie przeprosić,
gdybym przeprosił,
to może nie oczekiwałbym już przeprosin od nich,
anulował te ich długi,
odpuścił winy,
(przecież „jako i my…")
uwolnił się od tych ludzi.
Przeszłość odczepiła by ode mnie swój ciężar,
plecak z kamiennymi żądaniami,
kulę roszczeń na łańcuchu u nogi.
Czerwony rękoskrzydły o mysiej twarzy
by sobie odleciał.
Porzucając ten zniewalający bezmiar,
byłbym słabiej przyciągany przez Ziemię,
taki lekki jak babie lato,
kwiaty uzdrawiającej szałwii,
czy górski strumyk.
Niewinny jak słodka akacja
lub wysoko szybujący ptak.
Może właśnie tak zostaje się
praktykantem filozofii.

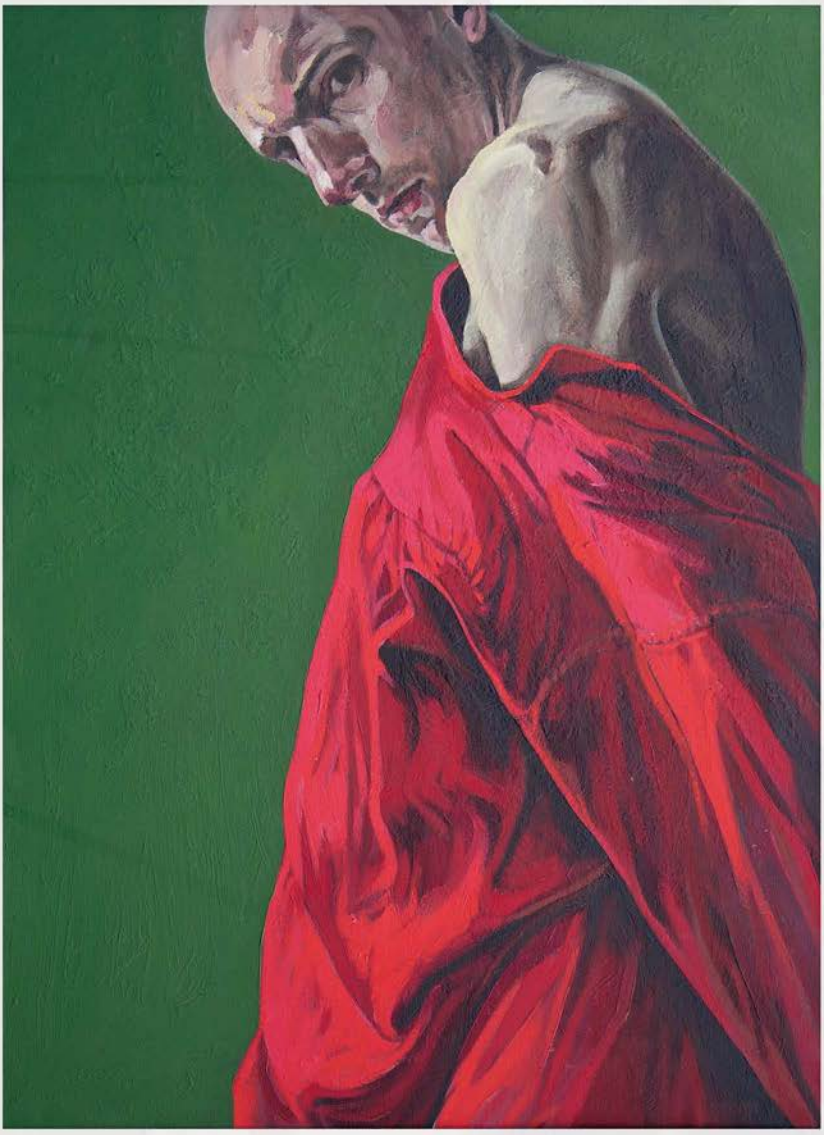

SIEDEMNASTA

A może by tak zostać poetą,
czyli skupić się na tym, co tu teraz
pachnie, kto śpiewa, co dźwięczy i szumi,
co widać wokół, na niebie i pod stopami.
Co w tej chwili dotyka, uciska, ociera,
jakie smaki pojawią się w ustach.
Doświadczać w pełni, żeby dobrze nazwać.
Przeżyć to, jak się miesza
śpiew Cheta Bakera z zapachem floksów,
miękkość dywanu z błękitem nieba,
smak czekolady z myślą o śmierci,
zapach sosny z dotykiem wody,
płomień ze smutkiem,
powolny akompaniament fortepianu
z marcepanowym nadzieniem,
nagła fala chwilowego lęku
z uciskiem okularów na nosie...
Poczuć uważnie, jak
cichnie obłok,
pachnie śpiew,
odurza odwaga,
światło dźwięczy,
otula westchnienie.
Zapytać, co właściwie może płakać
w dorosłym mężczyźnie.
Zachwycić się tą radością,
którą miał Salvador Dali

z wysiłku stawania się coraz pełniej
Salvadorem Dali.
Smakować, że wszystko płynie w tej właśnie chwili,
mieszając się ze sobą, a jednak
pozostając niewzruszenie uporządkowane
przez przenikającą świat Pierwszą Przyczynę.
Znaleźć formę – nie musi być logiczna,
jeśli będzie ładna – pogodzenia się
z niepoznawalnością Ostatecznej Tajemnicy.

Zostać poetą, czyli zacząć żyć teraz wreszcie naprawdę.

OSIEMNASTA

I znowu cmentarz szeleszczący żółcią.
Biały mrok, a powietrze ma piekący smak
wilgotnego błota i palonego plastiku.
Matka i leżący 150 metrów od niej ojciec.
Bliżej bramy głównej, która jest ostatnią.
Nie leżą razem.
Oddalili się od siebie.
Nie wiem, co to jest,
ale gdy przechodzę w pobliżu, zaczepiają mnie
jakimś niby promieniowaniem
albo spojrzeniami?
Stamtąd?
Ja wiem, że to niedorzeczne,
ja wiem…
ale mnie zaczepiają.
Jakby znowu czegoś chcieli…
Czy teraz rozumieją już więcej? czy nic?
Moje myśli są jak kundlowaty pies,
uważny i niepewny.
Zawodzi chór milionów schnących liści.
W końcu się całkiem zaszumi.
Wszędzie wkoło czarne drabiny
lekko chwieją się na wietrze.
Czekają.
Czy warto w ogóle zastanawiać się nad przemijaniem,
skoro można powiedzieć tylko tyle, że przeminie?
Moje przemijanie przeminie.

A może jednak wmówić sobie radość chwil
o których tylu tyle pisze,
uśmiechnąć się do siebie,
ludzi zobaczyć
biegnących na spotkanie jak szczeniaki,
usłyszeć jaśminy śpiewające Vivaldiego,
unikać larw,
jeść wilczy smalec,
szukać dalej największej tajemnicy świata,
kwiatu paproci.
Cóż innego pozostaje?

DZIEWIĘTNASTA

Dreszcze dnia z lęku przed ciemniejącą szarością.
Nieodwołalny przypływ nocy.
Nadchodzi władza snów ciemnych,
snów oplatających swoim przeznaczeniem.
Stajesz się ich więźniem.
Zrobią z Tobą to, co muszą.
Już zaraz pojawią się ci, którzy uderzyli w Twoje serce
nożem, północnym wiatrem
lub garścią ciepłych fiołków.
Drapieżniki, jasne melodie
i spadanie z wysokości.
Ludzkie zwierzęta i zwierzęcy ludzie.
Krzyk lasu i banalny zapach Chanel nr 5.
Na brzegach ran Twojego serca będą rosły w ciszy
czarne kryształy soli.
W nocnych przebłyskach świadomości widać,
że władza dnia jest podobna
i też jesteśmy jej więźniami.
Dzień jest snem, białym snem
przychodzącym po Ciebie.
Równie zniewalającym.
Ciemności mogą przebłysnąć nie tylko w nocy,
Minotaur zniknąć w najbliższej bramie.
Śnisz.
Ciągle śnisz i śni Twoje ciało.
W snach dziennych
nie ma myśli o przebudzeniu.

Nie wiesz, że mógłbyś mieć taką nadzieję.
Przebudzenie jednak nigdy nie nadejdzie,
ale wszystko będzie jak zazwyczaj,
normalnie, zwyczajnie.
Nie bój się.
Nie ma się czego bać.

DWUDZIESTA

Ta dziewczynka myślała, że potwory i smoki
istnieją tylko w bajkach,
za siedmioma górami, za siedmioma lasami.
A ostrzeżeniem była
opalona płonącą stodołą
jabłoń bez liści,
na której wisiały
czarne, syczące jabłka.
Pachnące karmelem.

Nagle powietrze rozerwał narastający ryk.
Znad koron lasu pełnego malin
nadleciał stalowy potwór.
Wył i terkotał jak maszyna do szycia.
Motyle uciekły pierwsze,
porywając ze sobą klejące się
nitki ufności.
Ona, ośmioletnia, biegła spłoszona
tak jak małe zające – zakosami.
Złotorude warkoczyki nieśmiało
podskakiwały na jej plecach.
I w takim też rytmie
podskakiwały obok niej obłoczki pyłu
wzbijane przez pociski
na polnej drodze pod Grodnem.

Co biegnąc myślała – nie mogę powiedzieć.

Nie płakała.
Oczy miała zielone a pilot – oczy wilka.
Nie przyszył jej, tak jak innych,
purpurowym ściegiem
do ziemi.

Potem wiele razy myślała,
jak to się stało,
że jednak nie poszła spać do tej stodoły
a niemiecki wilk nasycił się kimś innym.
Że przeszła nad przepaścią,
choć rozbiły się jej
kryształowe części duszy.
Nie była córką Priama czy chociaż Marka Liwiusza,
więc jej historia nie stała się legendą ani pieśnią.
Siedemnaście lat później
– za siedmioma górami, za siedmioma lasami –
urodziła mnie.

SEZON TRZECI

DWUDZIESTA PIERWSZA

Tak bardzo
chciałbym rzucić kamieniem.
Tak celnie.
Z całej siły.
W to, czego nie otrzymałem.
Tak mocno.
Nadejście zmierzchu na chwilę usypia wiatr.
Ten sen zagęszcza nabrzmiałe zapachy
roślin i zwierząt.
Tak parno.
Włosy mam pełne błota.
Próbowałem pokonać zbocze mokrej tęsknoty,
zdobyć szczyt napełnienia.
Tak zachłannie.
Strząsnąć – tak czule – łzy z chłodnego źródła skurczu
co skacze jak drapieżnik milczący.
Pieką krople czarnego deszczu.
Tak ostro.
Noże pustki już biegną.
Tak szybko.
Zatopią się.
Tak głęboko.
Niech dopadnie je ten kamień swoim ciężarem.

DWUDZIESTA DRUGA

Śpiąc, obserwuję we śnie
mojego śpiącego tygrysa i jego sny.
Kiedyś paśliśmy się razem na mrocznych pastwiskach.
Głaszczę ciepłe futro.
W powietrzu zapach nieświeżego mięsa.
Wspomnienie oparów krwi.
Pod jego skórą napinają się
i przelewają masywne mięśnie,
gdy śni o powolnym stawianiu kroków
i o tym, że idzie prowadzony na smyczy
przez wiejską dziewczynę
z mlecznymi, kołyszącymi się piersiami.
Gdy się zbudzi, wyjdziemy razem z tego labiryntu.
Królowałeś mi, tygrysie.
Królowałeś.
Ale już więcej nie.
Kłamałeś mi, tygrysie.
Kłamałeś.
Ale już koniec.

DWUDZIESTA TRZECIA

Bliskie, zacienione szczyty
na tle rozświetlonej, pierzastej bieli nieba.
Nieruchomej.
Jedwabne fałdy wzniesień
rozłożyły się u podnóża gór.
Błogość poduch, pierzyn oczekujących, rozległy spokój.
Dolina wypełniona aksamitami mlecznymi.
Na wyciągnięcie ręki.
Tylko wskoczyć w te miękkie objęcia.
Stać się śniegiem przytulnym.

Spełnione proroctwo zimnego światła:
biel zagarnęła wszystko
a powietrze spływa z gwiazd.
Stado kryształowych dzwonków
zamarło na słonecznym pagórku.
Owocowanie zimy: marmury, szkło, śnieżne brokuły.
Z boku, żółte prześwietlenia zatrzymanego słońca.
Jasność.
Mróz zapomnienia.
W cieniach zagłębień mroczny śnieg.
W podziemnych korytarzach śpią zmęczone mrówki.
Wszystko jest tutaj dobre.
Niczego nie brakuje.

Srebrne nasłuchiwanie.
W puchu ukrywa się cisza tak głęboka,

że wchłonie i zdusi każdy dźwięk.
Ach, jak chciałbym pogłaskać białą sierść
niewinnych świerków.
O zachodzie, przez chwilę,
chmury zapłoną pomarańczową lawą.
Ale teraz stężała piana na błękicie.

I nagle dreszcz, przebiegający po plecach,
po karku, po głowie.
Z myślą, że może wszystko co widzę,
ten krajobraz dookoła,
to właśnie Ona.
Pierwsza Przyczyna wszystkiego,
która i swoją jest przyczyną.
I patrzy na siebie moimi oczami.
Naszymi oczami. Wszystkimi.
Patrzy na siebie.

DWUDZIESTA CZWARTA

Jednym dziobnięciem czarny kruk urwał głowę
znużonemu gołębiowi niebios.
Jednym pociągnięciem smyczka można zagrać
rozdarty pisk szczura, którego zabijałem,
gdy łapczywie szukał mojego serca.
Jeden tylko raz byłem na krawędzi słodkiej bieli.
Jeden raz mogą się zdarzyć te mdłości od dotknięcia.
Jednym cieniem da się osłonić, umierając.
Raz tylko wolno ssać moc
a później tylko patrzeć z ciekawością,
tak, ciekawością.
Tylko nią można ciągle biczować ciemność.

DWUDZIESTA PIĄTA

Gdy osacza Cię las,
biegnąc drzewami,
nie uciekaj, stój jak cicha zieleń.
Schroń się w nim przed nadejściem deszczu much.
Nie zakrywaj oczu.
Las Cię przyjmie ciepłem mchu, miękkością ciszy.
Porośniesz gęstą sierścią.
W stronę Twoich malinowych wyobrażeń
znowu coś zacznie pełznąć.
Bądź zimnym poławiaczem lęków,
ale uważaj na wielkie drzewo, które kurczy się
ze strachu przed wichurą
i odbiera nadzieję ptakom.

DWUDZIESTA SZÓSTA

Gdzie miałbym zamieszkać?
Mojego nieba tutaj nie ma.
Głód, którego żaden pokarm nie nasyci
zjada mnie.
Czy mu ulegnę cicho?
Czy przyjdzie ktoś i powie: „nie lękaj się”?
Czy nauczy mnie bezszelestnie szybować w chmurach?
A chmury? Będą słone czy kwaśne?
Jak stać się ptakiem niebieskim pachnącym maciejką?
Jak porzucić chropowate zgrzyty,
brązowe dymy,
ciężary duszące
i te wydrążone mozolnie drogi
o ścianach z potłuczonego szkła?

DWUDZIESTA SIÓDMA

Gdzieś czeka cichy ocean.
Wyobrażam sobie, jaki jest ciepły i gładki.
Zapach ryb, muszli, wodorostów
i rozgrzanych słońcem sosen żywicznych.
Na jego brzegu
rzeki przesypującego się piasku
który nas odmierza.
Mógłby się wzburzyć, ale teraz nie.
Bezkresna tafla gęstej, nieruchomej oliwy.
Wchłonie nas i nasze łodzie.
On, Nieprzemijający, który dał nam to
czego sam nie posiada: przemijanie.
I jak było na początku,
będzie dalej w milczeniu
uderzał falami o brzegi zimnych klepsydr.

DWUDZIESTA ÓSMA

Lipo pachnąca,
daj mi miękkość twojego drewna,
przyślij pszczoły z lepkim słońcem,
naucz kołysać się cichym szumem
i niech ominą mnie twe drzazgi.
Chciałbym spać bezpieczny jak ptak
w troskliwych gałęziach.
Pragnę dotyku twoich czułych liści.
Nakarm mnie mlecznym nektarem,
osłoń fioletem zatrzymanych chmur
przed tnącą stalą obcych spojrzeń,
uśpij duszną słodyczą po raz ostatni,
zanim odejdziesz na zawsze,
a ja zacznę ostrzyć samotność
jak brzytwę.

DWUDZIESTA DZIEWIĄTA
Bożenie

W pajęczynie słońca
ciężkie cienie kwiatów.
Płyniemy z powolną rozkoszą
w gęstym i lepkim powietrzu.
Ślina ma smak łąki.
Bose chodzenie po ostach zostawia
piekące kolce w stopach.
Łagodnie przelewa się po twarzach
oliwa złotego ognia.
Białe płatki jedwabnego rumianku
jak klawisze fortepianu.
Przypominają o preludium nr 4
skomponowanym na Majorce.
Lądujący motyl jest znakiem, że można
być na swoim miejscu i nie pytać o sens.
Brzęczą żółte dywany.
Połóż swoje ciepłe piersi
na moim dygocącym sercu,
pełnym zziębniętej krwi…
Jaskółki siedzą nieruchomo
w cieniu pod okapem.

TRZYDZIESTA

Zapach, którym wzdycha heliotrop,
otwiera szczelinę do tajemnicy świata
która w nim mieszka.
Do szeptu, który już, już mamy zrozumieć.
Do łapczywych snów naszych dusz.
W tych kwiatach cóż jest?
Szafiry wiosny
i skurcz gwałtownego pragnienia.
Podniecone oszołomienie.
Od sadzenia heliotropu rośnie tęsknota
za ostatecznym zachwytem.
Pić ten słodki zapach, oczywisty jak światło,
to dostępować nadziei.
Czy istnieje inna ciemność?
Czy otworzą się drzwi zwierciadeł?
Czy dotkniemy ciepła szklanych gwiazd?
Czy poznamy smak wnętrza miękkiej muszli?
Czy tylko kosmiczne nienasycenie
co jak lodowata studnia?
Nie, nie można mu zadawać żadnych pytań.
Szafiry heliotropu umierają, cicho błękitniejąc.
Szept zapachu pozostaje niezrozumiały.

SEZON CZWARTY

TRZYDZIESTA PIERWSZA

Józkowi Baranowi

Kim jesteśmy, którzy pytamy,
co oznacza istnienie kwiatów,
mimo, że nasze łodzie przeciekają?
Którzy w ukryciu lamentujemy,
mając śnieg w oczach.
Którzy chcemy zobaczyć
światła na szczytach wzgórz,
bo jesteśmy przebici mrokiem.
I nasze łodzie przeciekają.
Którzy widzimy marzenia doskonałe
a w ciepłym łóżku ostateczne pragnienia.
Którzy, choć już wiemy, o co pytać,
to nie słyszymy odpowiedzi.
A nasze łodzie przeciekają.
Którzy jesteśmy słabością pychy,
ślepotą nieumiarkowania,
paniką nieczystości,
rozpaczą gniewu,
głodem zazdrości,
niepewnością lenistwa,
samotnością chciwości…
Którzy chcemy być miękko wzięci za rękę,
bo nasze łodzie przeciekają.
Którzy znamy
zapach ognia,
dźwięk wody,
smak wiatru.

Którzy w samotności głowy opuszczamy,
myśląc, że róże są daremne.
Którzy boimy się stracić resztki, okruszki, odłamki...
choć nasze łodzie przeciekają.

TRZYDZIESTA DRUGA

Po ciemku, w nocy, drżący dotyk...
miękkich liści?
Czy to Ty lipo, przychodzisz do mnie
z szelestem ciepła?

Nie przeklinasz wiatru,
ani gorzkiej jesieni,
nie męczy Cię pełnia księżyca.

Tak wiele sobie o Tobie wyobrażałem
a nie ma nawet, jak Cię objąć.
Chcę znowu zobaczyć, jak uważnie słuchasz
piosenek pszczół.

Gdzie jest Twoje nieodwracalne królestwo?
Gdzie jest zwierciadło,
w którym zobaczymy siebie?
Jednak to nie Ty...
pomyliłem liście ze skrzydłami...

Głód rozrywa moje serce jak chleb na kawałki.
Wężowym ruchem podnoszę głowę, aby dojrzeć
niebo gwiaździste
i te wszystkie ptaki,
które chcą mnie dotknąć.

A jeśli w rzeczywistości mówię tym samym językiem

co biegnące chmury i czarny kos?
Jak więc ktoś mógłby mnie pokochać?

Kiedyś zamieszkam w Twoim ciele
i wtedy dowiem się,
dlaczego byłem taki samotny.

TRZYDZIESTA TRZECIA

Zanurzenie w ciepłej wodzie,
kołysanie, chlupot, przelewanie,
zapach błękitnego mleka,
szum płynącej krwi,
szmery, pompowanie,
zaciszne falowanie, przytulne głaskanie,
tętent serca,
opadanie rąk,
opadanie nóg,
miękka senność,
różowe światło przez zamknięte powieki.
To ten jedyny moment,
kiedy jeszcze nie wiesz co to głód,
ani nie musisz sobie wybaczać…
nie wiesz w co powinieneś uderzyć
i co uderzy w Ciebie.
Moment, zanim zapragniesz modlić się,
aby świat zmienił swój bieg
i zanim usłyszysz o człowieku,
który w piaskach pustyni,
na północ od Masady,
zrozumiał wszystko.

TRZYDZIESTA CZWARTA

A gdybyś przybył tu jako szary wróbel...
Czy widziałbyś ogień wiejący przez świat,
żar pragnień,
palący płomień pokrzyw,
deszcz iskier świetlików,
ogniste ukąszenia żmij,
parzące spojrzenia,
ogniki wilczych oczu w ciemnościach,
wrzące strumyki łez,
czerwone ciernie rozdzierające duszę,
gorące promienie gwiazd,
czy czułbyś tylko
przypalone pióra skrzydeł?
Idziesz jak zawsze wśród piekielnych luster
zgrzytających odbiciami,
nic nie rozumiejąc.
A jeśli uważasz się za odpowiedź
to jak brzmi pytanie?

TRZYDZIESTA PIĄTA

Są takie wspomnienia opętane,
przy których zaczynają poruszać się w kościach
jakieś nieme robaki.
Najbardziej w czaszce, żebrach i ramionach.
Dławiąc się, drążą sobie korytarze.
Chrupot wywołuje mrowienie,
a skóra się zdziera.
Wtedy troskliwie wziąć duszę w dłonie
jak sikorkę bezbronną.
Poczuć jej drżenie i wypuścić, niech leci.
I krzyknąć szeptem:
uciekaj, uciekaj!
jak najdalej stąd
i nie wracaj nigdy.

TRZYDZIESTA SZÓSTA

Aż po horyzont zaorany brzuch ziemi,
bruzdy oczekujące,
miękkie, obiecujące.
Krajobraz wilgoci.
Tutaj trudno zrozumieć, że materia nie istnieje
a atomy są płonącymi, bezkresnymi wszechświatami.
W kałużach wód płodowych odbija się niebo,
po którym przemykają postrzępione jedwabie.
Brązowe wargi,
zapach przyjemnej zgnilizny,
wyorane pachwiny,
obleśne pluskanie,
skiby miękkie jak budyń,
prosta linia pieśni o świcie.
„Oj, nie ciesz się tak" – mówi matka –
„nie ciesz,
napojona, ziemna pustynia
urodzi kolejnych,
lecz nie będzie dla nich ucieczki
i skrzydła zostaną im oderwane".

TRZYDZIESTA SIÓDMA

No wiem, jeszcze trzeba będzie dalej iść…
Dokąd doprowadzi ten marsz
wśród milczących znaków
i jaskrawych pytań?
Jak to znieść, jak wytrzymać
pustkę niewiedzy?
Jak pojąć wskazówkę
którą jest zapach czeremchy
albo krzyk jastrzębia?
Krople lipowego likieru,
czy też ciepły śnieg
landrynkowych płatków jabłoni?
Słodki zapach cedru?
Szerszenie pijące sok z pękniętych brzoskwiń,
i goryczny piołun?
Co mówi próba objęcia czegoś upragnionego,
po której zostaje tylko ciepłe błoto
wypływające spomiędzy palców
zaciśniętych dłoni?
Kto rozmyślnie podtrzymuje formy i kształty?
Jaki ma sens światło?
Jak stać się samowyjaśniającą obecnością?
Jak nie zagubić w ulewie możliwości
oplątujących nas siecią pokręconych ścieżek?
Jak prosić siebie każdego dnia
o odwagę życia bez odpowiedzi?
Niech więc nadejdą kolejne, mgliste świty.

Chłodne, pachnące wilgotną trawą i niewysłowionym,
ale Temu który jest nie nadawać żadnego imienia,
bo nie da się nazwać kogoś, kto jest wszystkim.

TRZYDZIESTA ÓSMA

Próbuję o tym mówić spokojnie
Ammianusie Marcellinusie.
O tych tajnych współpracownikach
czarnopiórej tęsknoty,
którzy i Ciebie skłaniali do ciągłych zmian
i poszukiwań skutecznej modlitwy,
co spełnia jak ostateczne zaklęcie.
Cóż nam obu dało bycie kolejno
wojownikami,
adwokatami chwilowej słuszności,
skrytymi magami
czy opisywaczami tego,
co nami wstrząsnęło?
Czy byłem Tobą? Czy jesteś mną?
Czy to nie ma końca?

TRZYDZIESTA DZIEWIĄTA

Z tym przyciąganiem ziemskim
jest tak, że ono długo i powoli słabnie,
aż nagły powiew mroku wdziera się do głowy
a w ustach zostawia smak żelaza.
I opada w głąb.
Serce wypełniają zimne chmury samotności.
Krew szumi szybko w kanałach ciała.
Robi się tłusta.
Próbuje przeciekać.
Czyje zaspokoi pragnienie, gdy powiew
zacznie skrzypieć mrozem?
Kto z nas jest gotowy na zakończenie?
Całkowicie całkowite.
I czy każdy chce zmartwychwstać?
Choćby nawet w gaju oliwnym?
Czas, którym jesteśmy, narzuca swoją prędkość światu.
Co nadchodzi – nadejdzie.
Och, żeby udało się wtedy uśmiechnąć
i pomyśleć, jak dostojnie szybuje orzeł
w ciszy nad niebotyczną przepaścią.

CZTERDZIESTA

Wieczorne ustawianie
urządzeń obserwacyjnych – wewnętrznych.
Nieruchoma gimnastyka umysłu.
Wsiebiewstąpienie.
Regulowanie ostrości i kierunku patrzenia.
Sumienny rachunek.
Wyostrzanie głębi.
Pod powiekami.
Rozchylanie pędów zdarzeń
i odnajdywanie drobinek światła.
One są.
Księgować je.
Uśmiechać się.
Przyciągać w zasięg świadomości serca.
Które się nimi odżywi.
Poczuć miarowe bicie,
powietrze swobodnie wpływające do płuc,
czułość nocy,
muskulaturę spokoju,
radość wdzięczności,
pieszczotę jasnych ziarenek.
Och tutaj!
One są.
Iskierki.
Ciepłe pyłki.
Wyłuskane z szarości i chropowatości dnia.
Codzienne dary. Wieczorne zbiory.

Litania dziękczynna.
Wdzięczność jest królestwem. Tak.
To ona jest ostatecznym ratunkiem.

Nie mam nic więcej do dodania.
To wszystko co chciałem powiedzieć.

Józef Baran

Liryka trudnej afirmacji

W książce *Stan miłosny... przerywany* (PIW, 2019) tak piszę o Krzysztofie Budziakowskim: „... jest poetą „z odzysku", to znaczy coś tam gdzieś w szkole „popiskiwał wierszem", ale wcześnie zaprzestał, gdy – jak żartuje – dowiedział się z tekstu Zagajewskiego, że Polska jest krajem miliona poetów... Po szkole średniej zdecydował się studiować filozofię, następnie wydawał zakazane książki w czasach zakazanej „Solidarności", a potem – już po transformacji ustrojowej – okazał się zdolnym szefem firmy architektonicznej i całkiem dobrze mu się wiodło (do dziś zresztą). Równocześnie jako zapalony społecznik dźwigał na swych finansowych plecach przez parę lat Fundację Zygmunta Starego siejącą ferment intelektualny w Krakowie. Prawdopodobnie wtedy zaraził się – już jako prezes tejże fundacji (a więc w wieku późnodojrzałym) – bakcylem poezji. I to zakaził się zapewne ode mnie... bo siadywałem na spotkaniach Fundacji, zbyt blisko niego. Na konsekwencję trzeba było trochę poczekać. Dwa lata temu, ni stąd ni zowąd, pokazał mi swoje pierwsze wiersze. Przystąpiłem do czytania najpierw z protekcjonalnym pobłażaniem, potem ze zdumieniem, gdy zacząłem się utwierdzać w przekonaniu, że to dobre albo bardzo dobre teksty. No cóż, załapał nieuleczalnego bakcyla i kto wie czy już nie umrze jako... poeta. Japończycy (np. Matsuo Basho, wiek XVII)

twierdzili, że kiedy już człowiek osiągnie wszystko, przewędruje świat – powinien nastąpić ostatni etap samodoskonalenia czyli oddanie się zajęciu najważniejszemu pod słońcem – kontemplacji poetyckiej pod kwitnącą wiśnią. W przypadku Budziakowskiego chodzi o kwitnącą lipę".

2.

...Upłynęło trochę wody w Wiśle od tamtych słów i oto trzymam w rękach maszynopis znakomicie skomponowanego tomu składającego się z 40 wierszy, o strukturze kryształu i intrygującym tytule *Choć nasze łodzie przecieka-ją...* Późno dojrzały owoc poetyckich kontemplacji Krzysztofa Budziakowskiego jest tym bardziej zaskakujący, że autor debiutu nie uczestniczył w agorze literackiej i można rzec jednym skokiem odrobił lekcje, które poeci pobierają przez długie lata poezjowania, zanim dobrną do najdoskonalszej artystycznie krystalizacji doświadczeń indywidualnych, w których odbija się też doświadczenie powszechne, uniwersalne.

Pół wieku życia w prozie i działaniu... i nagle (albo poniewczasie) takie „kwiatki" czyli *Notatki lipnickie...*

To nieczęste w poezji polskiej... Kiedyś co prawda z prozaika przeobraził się w poetę w późnym wieku Julian Kawalec (ale był to jednak zawodowiec literacki), pamiętam też szczególny przypadek Zofii Dormanowskiej, z zawodu prawniczki, którą w późnym wieku oświeciła iluminacja poetycka. Jednak umówmy się – poezja jest

domeną młodych, choć autorami rewelacyjnych wierszy bywali też starzy poeci: Iwaszkiewicz, Miłosz, Świrszczyńska, Kamieńska. Oni wszakże już w młodości fechtowali dzielnie piórem...

Scenerią i miejscem akcji prawie wszystkich Notatek Krzysztofa jest Lipnica koło Bochni – gdzie ma dworek i gdzie spędza wolny czas. Mówiąc najogólniej tłem tych wierszy próbujących zbliżyć się do Tajemnicy i tego co Niewyrażalne – jest przyroda, krajobraz, Natura, przemijające lecz nieprzemijalne pory roku. Zaś uszczegółowiając rzecz – „lądujący motyl", który jest znakiem, że „można być na swoim miejscu i nie pytać o sens", „czerwień ognia płonących gałęzi derenia", „bliskie zacienione szczyty", „szum, szmer, pluskanie, szuranie/bulgotanie spływającej wody", „szerszenie pijące sok z pękniętych brzoskwiń".

Czy to aby nie nazbyt staroświecka dekoracja?

A gdzie modemy, „szum samochodów", „miasto, masa, maszyna", swary polityczne, „nowoczesność"?

Budziakowski w swojej poezji metafizycznej daje dowody, że naturalne decorum jest dalej przydatne w liryce, a to co staroczesne jest zarazem aktualne. Przecież rzeczywistość lip lipnickich tak podobnych do lip czarnoleskich, opiewanych przez Mistrza Jana i do tych z Ineb-hedż, miasta nad Nilem, jak i rzeczywistość skoszonych traw „pachnących wciąż tak samo, jakby się nic nie stało", teraz i przed stuleciami czy... chmur, przy opisywaniu których poeta zadaje eschatologiczne pytanie godne Miłosza z *Drugiej przestrzeni*: „co jest ich odwrotnością niewidzialną?" – mogą być

w dalszym ciągu najbardziej stosownym tłem dla liryki ponadczasowej.
Bo czy może być coś bardziej ekscytującego dla poety od próby opisania cudów dokonujących się na ziemi i pod majowym, a także wrześniowym niebem pulsującym życiodajnym słońcem?
Jeśli nawet ta „współczesność" przeminie i zblaknie, to odrodzi się znów za rok, niemal w tej samej choć nie identycznej, formie i postaci. Stąd jej uniwersalność i niepowtarzalna powtarzalność...
Notatki lipnickie przenikają zatem pytania ostateczne o sens i bezsens ludzkiego i wszelkiego bytowania. Obcując z Naturą poeta dotyka tego „co zawsze i wszędzie" a nie tylko „tu i teraz", ociera się o panteistycznie rozumianego Boga, wpada na tę samą intuicję co Borges: „Nie znamy intencji Wszechświata, ale wiemy, że myśleć jasno i działać sprawiedliwie, to pomagać tym zamiarom, które nie zostaną nam objawione".
Na szczęście refleksje Budziakowskiego nie są li-tylko suchym traktatem filozoficznym. Bywają jednocześnie liryką na wskroś zmysłową i emocjonalną, upejzażowioną i uprzyrodowioną.
I na przekór chwalcom nowoczesności, którym takie sięganie do rekwizytorni rodem z Jana z Czarnolasu mogłoby się kojarzyć z sielankowością – poeta z Lipnicy udowadnia, że jest wręcz odwrotnie. W arcydziełku poetyckim *Dwudziesta trzecia* poświęconym opisowi śnieżnych wzgórz (uosabiających śmierć?) mamy do czynienia z mrożącymi krew w żyłach metaforami typu: „w puchu ukrywa się cisza tak głęboka, że wchłonie

i zdusi każdy dźwięk", „w podziemnych korytarzach śpią zmęczone mrówki", „i nagle dreszcz przebiegający po plecach, po karku, po głowie. Z myślą, że może wszystko co widzę, ten krajobraz dookoła,/ to właśnie Ona./ Pierwsza Przyczyna wszystkiego, która i swoją jest przyczyną./ I patrzy na siebie moimi oczami./ Naszymi oczami. Wszystkimi./ Patrzy na siebie"...

Kapitalne i odkrywcze poetycko stwierdzenia wynikają z kontemplacji ośnieżonych wzgórz, zapomnianych wiejskich cmentarzyków, gdzie przemijanie widać jak na dłoni. Medytacje intelektualne zrodzone z ekstazy ulotnej chwili, z brodzenia w potoku górskim i łowienia ryb, dla których jest się „bosym wysłannikiem Przeznaczenia".

Przedmiotem intelektualnych medytacji może stać się sadzenie heliotropu, ludzka łza, której poeta poświęca wiersz i pytanie: „czy każda kropla wody w oceanach świata w swojej historii była już łzą?"... A także wieczorne poszukiwanie wewnętrznej harmonii i cowieczorny rachunek sumienia (*Czterdziesta*) czy skwarne południe, gdy „białe płatki jedwabnego rumianku/ jak klawisze fortepianu,/ przypominają o preludium nr 4 skomponowanym na Majorce"...

Niekiedy bywa to liryka wręcz okrutna w wiwisekcji, gdy poeta wstępuje w siebie i dokonuje rozliczenia. Opisowi owego poetyckiego wsiebiewstępowania mógłby patronować Zygmunt Freud i Carl Gustav Jung. W notatce *Dziewiątej*, *Dziewiętnastej* czy *Dwudziestej drugiej* poeta kieruje wzrok do środka, w przestrzeń umysłu, graniczne zakamarki, by dotrzeć do „wewnętrznej

hodowli wewnętrznych zwierząt", zapisanych nam może w genach, w spadku po pogańskich antenatach a może otrzymanych bezpośrednio od zwierząt. Pyta: „gdyby zostały pokonane czyli zagłodzone lub lepiej:/przebite jak smoki metaforycznymi włóczniami – / czym byłaby pustka po nich?".
Te wiersze „wsiebiewstępujace", to jakby medytacje nad złożonością naszej pół-ludzkiej, pół-zwierzęcej, a w każdym razie hybrydalnej natury.
Szukanie odpowiedzi na ważne pytania odbywa się zarówno za pośrednictwem metaforycznej penetracji (świeża, odkrywcza metafora jest mocną stroną tych wierszy) przestrzeni, krajobrazu, Natury a więc tego co na zewnętrz człowieka (Makrokosmosu), jak i tego co roi się w głębi lęków ludzkich, w nano-przestrzeni Mikrokosmosu.

3.
Byłbym jednak jako autor tekstu winien błędnego wyobrażenia, gdyby ktoś po przeczytaniu powyższego uznał, że Krzysztof Budziakowski to wyłącznie poeta natury, opozycyjny wobec poetów kultury... Jakiś Jan Jakub Rousseau, naturszczyk Rousseau Celnik (przywołany w jednym z wierszy) czy neo-Jerzy Harasymowicz. Owszem „hreczkosiej" z Krzyśka nielichy, bo trzeba przyznać nieźle rozeznaje się w faunie i florze... Ba, Budziakowski zna nie tylko nazwy, ale potrafi też rozpoznać kwiaty po zapachu czy ptaki po śpiewie. Jednak posiada też głęboką wiedzę z zakresu kultury, historii starożytnej i współczesnej, muzyki, malarstwa... Tu czy tam

błyska nią w wierszach, nie nadmiernie obciążając popisami erudycji, żeby wiersze mogły fruwać... Służą jako aluzyjne dopełnienie i wzbogacenie pięknych porównań i przenośni, czy skojarzeń. Wskazują, że nie jest gorszym od Miłosza znawcą nauki np. Epimenidesa, który twierdził, że „świat powstał z Powietrza i Nocy, a wszystko co widzialne/ma swoją odwrotność". Muzykę operową zna nasz poeta nie tylko z teorii, ale i z praktyki, bo sam pobierał lekcje śpiewu siłując się z partiami *Wesela Figara*. Nieobce mu także nazwiska: Jordi Savalla, Giordana Bruna, królowej Hatszepsut znad Nilu... śpiew: Cheta Bakera „z zapachem floksów", malarstwo Salvadora Dali, już nie mówiąc o Vivaldim, Borgesie, Rilkem itd., itp.
Potrafi utożsamić się nawet z nieznanym prawie nikomu Rzymianinem Ammianusem Marcellinusem, z którym łączą go – jak twierdzi w wierszu *Trzydziestym ósmym* – podobne tęsknoty i koleje losu, choć dzielą tysiące lat.
Jest więc Krzysztof Budziakowski zarówno poetą kultury, jak i poetą natury. W podobny sposób łączy emocjonalność, liryzm z refleksyjnością i dystansem. Na tej samej zasadzie jak łączy rozbuchaną barokowo zmysłowość obrazowania z wieloznacznością i operowaniem niuansami, odcieniami, pastelowymi barwami...

4.
Pisząc ten tekst opatrzyłem go tytułem „Liryka trudnej afirmacji". Tak. Trudnej, bo mimo, że te wiersze a czasem miniaturki prozatorskie (*Szósta)* są ładne, wieloznaczne, kunsztownie zbudowane, o symetrycznej konstrukcji i ozdobnych, małych czy dużych metaforach –

a więc afirmatywne w formie (estetyzm jest rodzajem afirmacji) – to jednak przy ich lekturze odczuwa się, iż często bywają podszyte lękiem, dramatyzmem, związanym nie tylko z poczuciem upływającego czasu, który naznacza wszystko i wszystkich przemijalnością, lecz także z jakimś rodzajem niespełnienia, niedosytu, pragnienia, głodu, platońskiej tęsknoty za nieokreślonym, absolutnym... Słowem, tęsknoty zrodzonej z niepogodzenia się z ludzkimi ułomnościami i niedoskonałościami, z ludzką niewiedzą i ograniczonością, żeby poprzestać tylko na tych pierwszych z brzegu dramatycznych cechach ludzkiego losu i nie zapuszczać się za daleko w rejony ciemności, widoczne też w tej liryce... nie stać się więźniem „władzy snów ciemnych/ snów oplatających swoim przeznaczeniem".
W takich wypadkach pozostaje autorowi bezradne stwierdzenie, że najbezpieczniej było w łonie matki, „w szumie płynącej krwi", w „zapachu błękitnego mleka", „w kołysaniu, chlupocie, przelewaniu (...) w zacisznym falowaniu, przytulnym głaskaniu/ tętencie serca (...) bo to jedyny moment, kiedy jeszcze nie wiesz co to głód".

5.
Z drugiej strony czytając tom debiutanta odczuwa się, że podmiot liryczny to niezły sybaryta, łasuch, pięknoduch kochający uroki życia, rozkosze podniebienia, dobre bourbony, zapachy Chanel nr 5 i słodkie wonie heliotropu... Jednym słowem wyznawca hedonizmu i hodowca pięknych grzeszków, albowiem „bogactwo, które otrzymałem nie ma końca" i warto popróbować tego

wszystkiego, choć ma się świadomość, że „nasze łodzie przeciekają".
Jednak w wierszach Budziakowskiego silniejsza jest potrzeba afirmacji siebie, świata i siebie... Bo przecież endorfiny, hormony poprawiają samopoczucie, koją ból, „głaszczą po głowie, przywracają zdrowie", można prowokować ich wydzielanie, „a jednym ze sposobów jest uśmiech w ciemności"...
I choć „rozum praktyczny przygląda się z ironicznym uśmiechem zachłyśnięciom duszy" – warto, bo co innego pozostaje, „zanim stanę się wszędzie nieobecny" , zatracić się w smakach, zapachach, ekstazie. „wmówić sobie radość chwil (...) usłyszeć jaśminy śpiewające Vivaldiego (...) szukać dalej największej tajemnicy świata, kwiatu paproci".
Kim więc jesteśmy? – pyta w kluczowym wierszu poeta, my „którzy boimy się stracić resztki, okruszki, odłamki.../ choć nasze łodzie przeciekają.", a gdzieś za horyzontem:

„czeka cichy ocean (...)
Wchłonie nas i nasze łodzie.
On. Nieprzemijający, który dał nam to
czego sam nie posiada, przemijanie.
I jak było na początku,
będzie dalej w milczeniu
uderzał falami o brzegi zimnych klepsydr.".

W tomie zaprezentowano reprodukcje obrazów, których autorem jest Tadeusz Boruta. Artysta dyplom krakowskiej ASP w pracowni Stanisława Rodzińskiego i Zbyluta Grzywacza uzyskał w 1983 r. a w 1984 roku ukończył studia filozoficzne w Papieskiej Akademii Teologicznej. Swoją twórczość malarską prezentował na ponad 60 wystawach indywidualnych i ponad 200 zbiorowych w takich galeriach jak: Martin-Gropius-Bau w Berlinie (1996), Schirn Kunsthalle we Frankfurcie nad Menem (2000), Muzeum Narodowym we Wrocławiu (2005/2006, 2007), Muzeum Narodowym w Warszawie (1994), Muzeum Narodowym w Krakowie (1991, 1994, 1999, 2010), w Warszawskiej Zachęcie (1990, 1993, 2000), Muzeum Narodowym w Gdańsku (1991, 1994, 2005), Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie (1991).

Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień artystycznych, wykładowcą na Wydziale Sztuki UR, krytykiem sztuki, autorem wielu szkiców i książek.

Reprodukcje obrazów są publikowane w tym tomie dzięki uprzejmości artysty.

Okładka: Pentecoste (1996)
Consumismo spirytuale (1997)..... 13
W otchłani (2002)..... 17
Zasłona..... 27
W szkarłat odziany (1992)..... 35
Kain i Abel (1995)..... 49
Brzask (z cyklu Eden) (1988)..... 59
Otwarcie piątej pieczęci (1991)..... 65
Z szat obnażony (1988-89)..... 71
W szkarłat odziany (1997)..... 75

SPIS TREŚCI

SEZON I
Pierwsza....9
Druga....10
Trzecia....11
Czwarta....12
Piąta....14
Szósta....15
Siódma....18
Ósma....19
Dziewiąta....20
Dziesiąta....21

SEZON II
Jedenasta....25
Dwunasta....28
Trzynasta....30
Czternasta....31
Piętnasta....32
Szesnasta....34
Siedemnasta....36
Osiemnasta....38
Dziewiętnasta....40
Dwudziesta....42

SEZON III
Dwudziesta pierwsza....47
Dwudziesta druga....48

Dwudziesta trzecia....50
Dwudziesta czwarta....52
Dwudziesta piąta....53
Dwudziesta szósta....54
Dwudziesta siódma....55
Dwudziesta ósma....56
Dwudziesta dziewiąta....57
Trzydziesta....58

SEZON IV
Trzydziesta pierwsza....63
Trzydziesta druga....66
Trzydziesta trzecia....68
Trzydziesta czwarta....69
Trzydziesta piąta....70
Trzydziesta szósta....72
Trzydziesta siódma....73
Trzydziesta ósma....76
Trzydziesta dziewiąta....77
Czterdziesta....78

Posłowie....81
Spis ilustracji....90

© by Krzysztof Budziakowski, Kraków 2020

Redaktor tomu:
Krzysztof Kuczkowski

W tomie zaprezentowano reprodukcje obrazów Tadeusza Boruty
Portret autora na IV stronie okładki:
archiwum prywatne autora

Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Seria wydawnicza:
Biblioteka *Poezji* / Biblioteka „Toposu", T. 184

Adres wydawcy:
Towarzystwo Przyjaciół Sopotu
Redakcja „Toposu"
81–706 Sopot
ul. J. Czyżewskiego 12

Kontakt:
tel. 585 510 756
e-mail: topos10@interia.pl
www.topos.com.pl
www.tps-dworek.pl

Zamówienia:
prenumerata@tps-dworek.pl
biuro@tps-dworek.pl

ISBN 978-83-65662-54-5

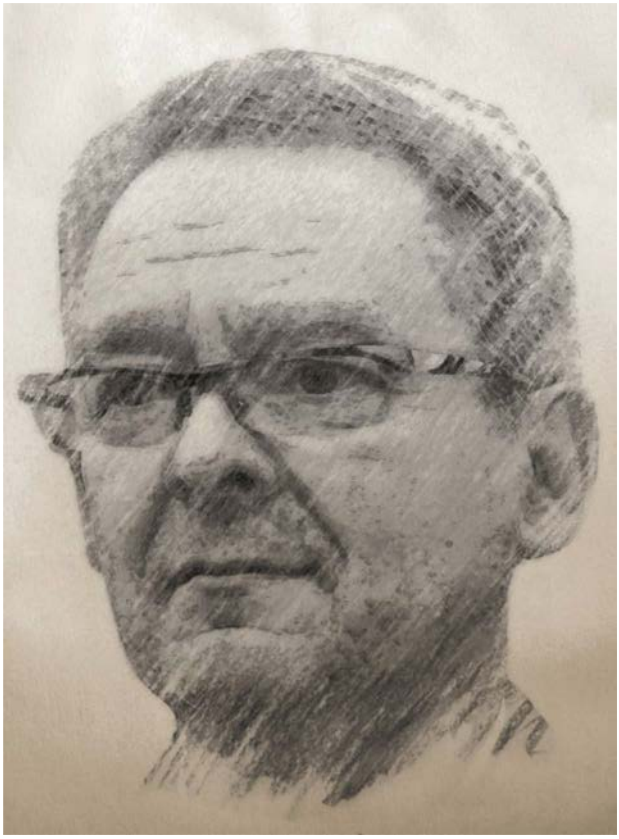

Krzysztof Budziakowski publikował do tej pory utwory poetyckie i szkice społeczno-historyczne w „Toposie", „Arcanach" oraz „Rzeczpospolitej".

ISBN 978-83-65662-54-5